

Alfred Leverkühn

Maciej Urbanowski

Andrzej Stanisław Kowalczyk to badacz polskiej literatury emigracyjnej, przede wszystkim kręgu „Kultury”. Pisał m.in. o Jerzym Stempowskim i Jerzym Giedroyciu. Ballada o Alfredzie Łaszowskim zaskakuje, bo bohater tej książki nie miał związków z powojenną emigracją, a już na pewno z „Kulturą”.

Łaszowski to twórca zapomniany i nieznan. Stempowski – co cytuje Kowalczyk – miał zresztą bardzo złą o nim opinię („kandydat na polskiego Goebbelsa”). Redaktor „Kultury” w jednym z listów nazwał Łaszowskiego „młodym hitlerowcem przedwojennym”, ale – o czym autor nie wspomina – przed drugą wojną drukował go w „Polityce”, więc musiał go wtedy cenić. Bohater *Ballady...* należał do czołowych współpracowników tygodnika „Prosto z Mostu”, a jego teksty sąsiadowały tu z artykułami Bolesława Micińskiego, którego listy wydał Kowalczyk.

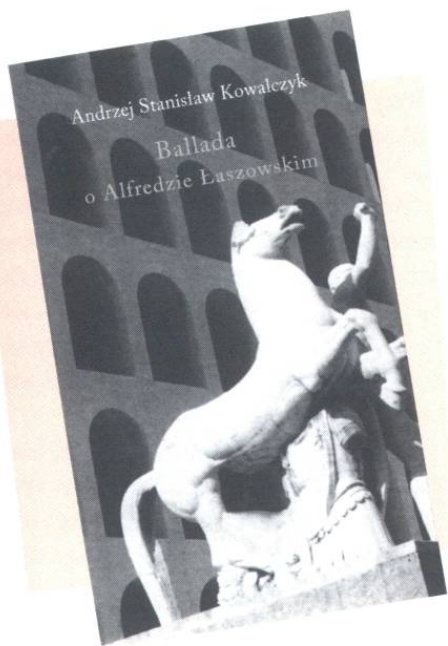
Nie tego rodzaju powinowactwa – mowa o pokoleniu 1910 – interesują jednak autora *Ballady o Alfredzie Łaszowskim*. Bardziej ciekawi go „nawrócenie” tego pisarza na „faszizm”, co dokonać się miało w 1937, a ściślej: owej konwersji przyczyny, a poniekąd i skutki.

„Nawrócenie”, bo Łaszowski przed 1937 – miał wtedy 23 lata – był zwolennikiem socjalizmu, marksizmu i awangardy literackiej. Był uczniem Przybosia, który go edukował w Cieszynie, publikował w kontynuującej tradycje awangardy krakowskiej „Linii”. Potem studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie jego mistrzami byli Tatarkiewicz i Kotarbiński. Oczarowani Łaszowskim byli Nałkowska oraz Irzykowski.

W 1937 Łaszowski opowiada się po stronie „faszizmu”, a ściślej Bolesława Piaseckiego i jego Falangi. Zaczyna współpracę z prasą narodowo-radykalną, staje się czołowym piórem „Prosto z Mostu”. Kowalczyk cytuje teksty, pełne szyderczej pogardy dla liberalnej demokracji, Żydów, homoseksualistów, pochwały totalizmu, narodowej rewolucji, nacjonalizmu, nowości, czynu i aktywizmu. Kpi z „lamentu żydów” (ortografia ówczesna), nudzi go potwornie „wymyślanie na Hitlera, Stalina i Mussoliniego”. Dla homoseksualistów żąda „od lat trzech do pięciu” więzienia, przymusowego leczenia i bojkotu towarzyskiego. Jest urodzonym paszkwilem i pamphleciarzem. Uwielbia wywoływać skandale. Był *enfant terrible* ówczesnej literatury.

Na wizerunku Łaszowskiego zaciążyła afera z zerwanymi, podobno ze względów „rasowych”, zaręczynami z Wandą Leśmian, córką wielkiego poety. Wedle jednej z wersji doprowadziło to do śmierci Leśmiana, co jednak prostowali biografowie autora *Łąki*, o czym lojalnie wspomina Kowalczyk. Ostrożnie traktuje niedawne rewelacje Instytutu im. Piłckiego jakoby Łaszowski miał być w czasie okupacji „cennym agentem” Gestapo. Tym niemniej pisze wprost o kolaboracji z okupantem. Mocnych dowodów na to wszystko na razie nie ma. Tego rodzaju podejrzania nie pojawiały się wobec Łaszowskiego w latach 1939–1945 ani w PRL czy na emigracji, a przecież brał aktywny udział w konspiracyjnym życiu literackim. Zorganizował z Irzykowskim 300 tajnych spotkań literackich, na których gościli także pisarze o żydowskich korzeniach. Widywał się z młodymi konspiratorami, na przykład z Andrzejem Trzebińskim. Zdaniem niektórych wpłynął na poglądy literackie środowiska „Sztuki i Narodu”.

Dowodów, a raczej cytatów z przedwojennej publicystyki Łaszowskiego wystarczy, aby mieć pewność, co do jego ówczesnych, często szokujących, poglądów. Niepotrzebnie więc Kowalczyk „dopisuje” mu cytaty z felietonów Karola Zbyszewskiego albo insynuuje, iż był odpowiedzialny za pobicie Karola Kuryłuka. Wystarczą te opinie, pod którymi on sam się podpisywał. Budzą one w autorze książki oburzenie, nawet obrzydzenie, ale też każą mu pytać, jak Łaszowski do nich doszedł.



Andrzej Stanisław Kowalczyk
Ballada o Alfredzie Łaszowskim

Kraków; Budapeszt; Syrakuzy: „Austeria”, 2022

93 s.; 21 cm

- Autor *Ballady...* wskazuje na kilka możliwych odpowiedzi. Pisze o polsko-austriackich korzeniach Łaszowskiego i kuzynie służącym w Wehrmachcie, co jakoś tłumaczyłoby fascynację III Rzeszą. Ważne mogło być ziemiańskie pochodzenie i obawa przed komunizmem, wzmocniona kontaktami młodego krytyka ze środowiskami przedwojennej radykalnej lewicy. W książce padają też słowa-definicje takie jak „koniunkturalizm”, „chuligan”, „wunderkind”, „meteor”, „oportunistą”, „immoralista”, „Alkibiades”. Są przywoływani inni pisarze, którzy opowiedzieli się w tym samym czasie po stronie „faszyzmu”: Gałczyński, Goetel, Nowaczyński. Przypomniane zostały poglądy Bolesława Piaseckiego („my Polaków chcemy umundurować duchowo”). Łaszowski nie był osobliwością, a raczej kimś typowym, także w jego pokoleniu, tak skłonny do rewolucyjnym projektem politycznym. Wystarczy przypomnieć ewolucję jego kolegów z Klubu „S”: Jana Kota czy Stefana Żółkiewskiego – w stronę komunizmu, Włodzimierza Pietrzaka – w stronę faszyzmu. Szczególne było, skąd Łaszowski przychodził, radykalizm retoryki, nietypowy sposób uzasadniania swego „nawrócenia”.
- Irzykowski porównywał Łaszowskiego do „zapalonego gracza, który po dłuższym kibicowaniu spycha partaczy z krzesel i gotów jest prowadzić dalej partię każdego z partnerów”. Kowalczykowi najbliższa jest interpretacja zrodzona z lektury *Doktora Faustusa*. Wedle niej Łaszowski, trochę jak Adrian Leverkühn, zawarł „pakt z diabłem”, dał się świadomie „zainfekować” wirusem faszyzmu, by w ten sposób „wyjść z impasu twórczego”. Byłby to powód estetyczno-erotyczny, ale inaczej niż w przypadku bohatera arcydzieła Manna efekt ukąszenia faszystowskiego był odwrotny od zamierzonego. Łaszowski nie stworzył arcydzieła i „żaden z jego utworów fabularnych nie przekroczył poziomu przeciętności”. Tak owe dzieła ocenia Kowalczyk, z czym można oczywiście polemizować. Nie chodzi o to, czy zgadzamy się ze Stefanem Kisielewskim, że *Psy gończe* to powieść wybitna (moim zdaniem tak), a raczej o to, że nie wiemy, jak potoczyłaby się kariera Łaszowskiego-faszysty, gdyby nie wybuch wojny i unicestwienie takich powieści jak *Główna kwatery* albo *Czarny sezon*. Może były „diabelskimi” arcydziełami?
- Gdyby nie ów pakt z faszystowskim diabłem, losy Łaszowskiego potoczyłyby się inaczej. Czy faszyzm miał być rodzajem lekarstwa na twórczą bezpłodność? Kowalczyk konsekwentnie odmawia uznania jakichkolwiek osiągnięć swemu bohaterowi. Po co więc o kimś takim pisać? Chodzi o to, że faszyzm dawał pole do popisu takim nieudacznikom literackim? Goetel czy Gałczyński takiej tezie przeczą.
- *Ballada...* nie jest zrodzona z ducha komplikacjonizmu. To moralistyczny esej biograficzny lub portret o cechach pamfletu. Pierwsza część tytułu, ballada, zaskakuje. Sygnalizuje synkretyzm, zapowiada emocjonalność autora, jak w balladzie zdziwionego czy przerażonego światem, który przedstawia. Ale nie ma tu ballady w rozumieniu poetyckości, liryczności, choć rzecz świetnie się czyta. Czy to jakaś aluzja do satyrycznych ballad Szopstańskiego, Brechta czy Gałczyńskiego?
- Kowalczyk oskarża i demaskuje, dlatego pewnie przemilcza te przedwojenne teksty Łaszowskiego, które uczyniły zeń nadzieję krytyki awangardowej. Przypomnę: debiutował jako osiemnastolatek na łamach „Linii” tekstem o Iwaszkiewiczu. Kolejne szkice, nieraz znakomite, drukowały pisma dalekie od ONR, „Apel”, „Studio” czy „Pion”. Ich bohaterami byli Brzękowski, Piwowar, Flukowski. Łaszowskiego chwalili za te teksty Czechowicz, Przyboś i Peiper.
- Pakt z diabłem unicestwił świetnie zapowiadającego się krytyka. Dobra opinia towarzyszyła jednak Łaszowskiemu i po „nawróceniu”. Drukował go Giedroyc, gościła Nałkowska. Ówczesna „polityczna poprawność” była inna, brutalność cechowała wszystkie strony sporów polityczno-literackich. Nasza perspektywa nie zawsze pozwala to zrozumieć.
- Na ile zresztą „nawrócenie na faszyzm” Łaszowskiego było odwróceniem się od komunizmu i awangardyzmu, a na ile było ich niekoniecznie paradoksalną reinterpretacją, w ramach której falangistowski „przełom narodowy” był jedyną możliwą drogą modernizacji Polski? A faszyzm synonimem nowoczesności i modernizmu? „Jeżeli jestem dziś nacjonalistą – pisał Łaszowski – zawdzięczam to szkole Przybosia i *Śpiewom o Rzeczypospolitej* [Kurka]”. Odpowiadając na ankietę „Nowego Wyrazu” buńczucznie i zarazem prowokacyjnie pisał: „Heil Peiper!”, podkreślając: „Można być w ONR-ze i lubić Eluarda i smaczki francuskie”. Na tym polega wyjątkowość i osobliwość Łaszowskiego. Dlatego dobra jest okładka książki reprodukująca fragment faszystowsko-modernistycznej rzymskiej dzielnicy EUR.
- Pisałem o tym dawno temu w *Nacjonalistycznej krytyce literackiej w II RP*, której ubocznym owocem był wywiad z Łaszowskim w „Dekadzie Literackiej”. Autor *Płów gończych* mówił mi wtedy, że po zakończeniu drugiej wojny ukrywał się w jakimś klasztorze i nosił doklejoną brodę. Konfabulował? Był mitomanem? W tym wypadku chyba nie, ale miał do tego ewidentnie skłonności. Twierdził – pisze o tym Kowalczyk – że w czasie wojny kolejne fragmenty jego powieści czyta... Hitler. Faktem jest, że – inaczej niż jego koledzy z „Prosto z Mostu”, Gałczyński czy Andrzejewski – nie kolaborował po 1945 roku z komunistami, nie sławił Stalina, nie wstąpił do PZPR, a nawet – pod pseudonimem – drukował polemiki z socrealizmem. A potem? Nie grzeszył odwagą, sugeruje Kowalczyk, nie walczył z władzą i nie drukował w drugim obiegu. Może się bał, może stał się konserwatystą, ale może była to jakaś lekcja wyniesiona z zaangażowania w latach trzydziestych? Trwające ledwie trzy lata „nawrócenie na faszyzm” właściwie napiętnowało Łaszowskiego do końca jego długiego życia. Skazało go na literacki margines, jak nieco analogicznie we Francji stało się z Lucienem Rebatetem czy Maurice’em Bardéchem. Nigdy chyba Łaszowskiemu owych trzech lat nie wybaczone, o czym świadczy poniekąd książka Kowalczyka. A przecież każał się, odcinał, przeproszał – w powojennych książkach albo w listach do „Gazety Wyborczej”. Kowalczyk uważa, że kluczył, nie zdobył się na nazwanie swej ówczesnej postawy słowem „faszyzm”. Bardziej żałuję, że nie opisał tych lat w autobiografii intelektualnej w rodzaju *Pamiętników faszysty* Rebateta czy *Wspomnień* Bardéche’a. Byłoby to z pewnością dzieło życia. Łaszowski podobno pisał dziennik. Ocalał? A może utajona autobiografia jest w jego powojennej prozie?
- Jerzy Eisler w studium o Liście 34, wspominając o XIV Zjeździe ZLP z 1964, stwierdza, że żaden z mówców nie posunął się wówczas w postulatach wobec władzy tak daleko jak Łaszowski. Kowalczyk zaś twierdzi, że pisarz nie puścił wtedy „pary z gęby”. Zarzuca mu, że „siedział cicho” w 1967 i 1968, ale na tle tego, co wówczas pisywano w prasie paksowskiej to milczenie wymowne.
- Nie bronię poglądów autora *Główny kwatery* z lat trzydziestych. Snuję refleksje i dopowiedzenia na marginesie ciekawego eseju Kowalczyka. Mogę go postawić na mojej półce z książkami o totalitarnych pokusach pisarzy minionego stulecia, obok *Zniewolonego umysłu*, *Hańby domowej*, *Uroków dworu* i *Czerwonej mszy*. Lub obok *Płów gończych*, *Nocy mediolańskiej* i innych dzieł naszego Doktora Faustusa. ◉